№ 21. Warszawa, 27 Maja 1910 roku. Rok III.

# SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

**PRENUMERATA w Warszawie:** z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

**TREŚĆ NUMERU:**





## ZŁUDZENIA CZY DEMAGOGJA?

Ilekroć zagadnienie wspólnej pracy z postępem mieszczańskim narzucało się lewicy społecznej i uporczywie domagało się rozwiązania — zawsze, zarówno u nas jak i gdzieindziej, zrywała się burza w środowisku demokracji robotniczej. Jeżeli nawet uznawano, że *chwila* wspólnego niebezpieczeństwa zdolna jest wytworzyć pewne choćby luźne, lecz jednak wyraźne skojarzenie wysiłków, przyczepiała się z boku kwestja — kto pierwsze kroki ku temu poczynić powinien. Dzieje się tak pomimo reguły, ogólnie przyjętej i uznawanej, że w tych chwilach, kiedy powstają wspólne interesy demokracji mieszczańskiej i robotniczej i wymagają obrony przed reakcją społeczną czy polityczną — współdziałanie jest konieczne i wielce realne, bo wywołane istotnemi potrzebami chwili. U nas wskazane zagadnienie w dobie bieżącej jest nieskończenie bardziej skomplikowane. Postęp mieszczański w Polsce a raczej w Warszawie, nie krzesał swej siły w godzinach burzy politycznej, nie szukał dla siebie ognia w rozpalonej atmosferze przedrewolucyjnej, w której odlane być mogły jego spiżowe, długotrwałe formy, zdolne oprzeć się pustoszącemu działaniu reakcji politycznej. Postęp ten nie poprzedził u nas demokracji społecznej i nie wchłonął tych pierwiastków młodych i twórczych, które koleją rzeczy rozwinąć się musiały na granitowym gruncie ruchu robotniczego, po którym spływały niepowodzenia, zawody i nieszczęścia organizacyjne. Postęp, jako skonsolidowana siła, rósł w ciasnym zakątku społecznym w tych czasach, kiedy z lewej strony już się podniosły olbrzymie, wciąż wzrastające w liczbę, masy, reprezentujące większą niezadowoloną część społeczeństwa, z prawej zaś strony uformował się reakcyjny obóz społeczny, murem odgradzający się od żywiołów rewolucji. Postęp dzisiejszy, jak i dawniejszy pozytywizm, rósł na wątłej łodydze inteligencji, jakby zdala od tej epoki, która przeszła pod znakiem stanowczości czynu i nieugiętości.

Ten trzeci stan,—martwy, leżący w wezwładzie wówczas, kiedy miał tworzyć własną epokę i ideą demokracji podbić społeczeństwo, wyrokował o dalszych losach własnej niemocy i podpisywał dla siebie dekret, skazujący go na pogardę za historyczny grzech słabości i lęku, zarówno w oczach silnej lewicy, jak i silnego konserwatyzmu.

Postęp warszawski swoją młodość przespał. Najpiękniejszy i najbardziej twórczy okres rozwoju spędził w puchu lenistwa i ociężałości. Obudził się już na rumowiskach rewolucji; powstał w godzinie wyborów do Izby Państwowej. Ten śmieszny karzeł, spojrzawszy w źwierciadło dziejowe lat ubiegłych i przekonawszy się o swych nikłych, karykaturalnych kształtach — poczuł znagła głuchą nienawiść do socjalizmu, który wydarł mu rolę historyczną i zepchnął go do znaczenia bezsilnego i bezbronnego stworzenia, godnego nad wyraz pożałowania. Socjalizm jest winny słabości postępu, on jest odpowiedzialnym za brak normującego środ-

ka społecznego, jakim być może tylko radykalizm mieszczański!

Dziś niewielki zespół postępowców, krzątający się na pustkowiu, bardziej wyraźnie formułuje swoją nienawiść do socjalizmu, uważa przytem go nieomal za sztuczny wytwór stosunków, za przeżytek, który winien zczeznąć w najbliższej przyszłości, nie szczędzi mu najniedorzeczniejszych oskarżeń, rzucanych opacznie i lekkomyślnie przez p. Niemojewskiego i p.p. Goreckich. Psychologicznego źródła tej dzisiejszej nienawiści, którą się pragnie przyoblec w nieudolne kształty krytyki naukowej, szukać należy w historycznej najgłębszej fazie snu postępu mieszczańskiego. Tylko w tym śnie odbyła się szybka przemiana materji postępowej, którą dziś, w czasie rozszalałej reakcji i klerykalizmu, zużywa się w znacznej części w walce z dziesiątkowanym i zgnębionym socjalizmem. Dziś, jakby chcąc zagłuszyć swój niewczesny chrap przeszłości, postęp mieszczański przemawia głośno w sprawach, o których należy milczeć, jeśli sprawy te *wychodzą poza obręb* rozpraw naukowych i źródłowych. W chwili obecnej, kiedy należy otworzyć na oścież drzwi na lewo i konsekwentnie dążyć do współdziałania w rzeczach jednakowo groźnych dla wszelkiej myśli niezależnej i wysiłku postępowego—ideolodzy demokracji mieszczańskiej odmykają okna po to, by módz przez nie, ku uciesze klerykalnej gawiedzi, prowadzić walkę słowną z odłamem lewicowym, wywołaną w dodatku za pomocą wyzywających, lecz zużytych i zgoła nieoryginalnych przydomków i epitetów.

Dla tego też sprawa współdziałania jest trudną do radykalnego rozwiązania.

Z jednej strony składa się na to słabość postępu, płynąca z smutnego okresu jego młodości, z drugiej zaś—głucha, wciąż pogłębiająca się nienawiść do lewicy społecznej, wyrażana głównie przez ludzi dawniej do tej ostatniej należących. Trzecim czynnikiem, wrogim współdziałaniu, jest wzgarda dla karła postępowego, przedwcześnie podstarzałego i niezdolnego dziś dźwignąć bogactwa idei trzeciego stanu. I cała kwestja byłaby nieudolną karykaturą kwestji współdziałania, powstającej w tych krajach zachodnich, gdzie demokracja mieszczańska jest ważnym czynnikiem w konstytucji sił, gdyby nie głębokie przeświadczenie, że polski postęp mieszczański nie jest zawarty i zamknięty w kilkudziesięciu głowach ze Zjednoczenia, lecz że istnieje i stopniowo rozwija się *poza organizacjami*, mniej w Warszawie, głównie na prowincji. Tam właśnie na gruncie pracy oświatowej i kulturalnej w bezpośrednim zetknięciu się z tem rozprzężeniem umysłowem, które wniosły już i wnoszą stronnictwa pobożnego knowania, powstaje w swej doniosłości zagadnienie współdziałania, któremu jednak towarzyszy ciągle widmo wspólnej rozterki, wychodzące z Warszawy.

Stawiając dziś możliwie najwyraźniej to zagadnienie i, jak to wypływa z artykułów, wypowiadając się za jego pozytywnem rozwiązaniem,—jesteśmy świadomi jego znaczenia, bynajmniej nie tak znikomego, by módz już jutro, idąc wzorem p. Niemojewskiego, obalić je czynem, niosącym wręcz przeciwne skutki. Jest wielce możliwem, że przy dzisiejszym stanie rzeczy w środowisku postępowem i radykalnem — pozostaniemy w odosobnieniu. Jedni przypisać nam mogą zoczenie wizji nieistniejących źródeł prowincjonalnego postępu, lub lepiej jeszcze sprzeniewierzenie się lewicy, której nie wolno się łączyć z zamaskowaną, lecz z zakapturzoną reakcją. Inni znajdą w niniejszych wystąpieniach nowe, ukryte, przyczajone sposoby demagogiczne, zmierzające do dyskredytowania ideologji wolnomyślnej, dla tego tylko, że nie jest ideologją robotniczą, a które zmusić mogą czcicieli czystej niezależności, nieskrępowanej pierścieniem żadnej doktryny—do ponownego zastosowania nowej metody eksperymentalnej w publicystyce. Nie mniej jednak uważamy, że lewica nie ma obowiązku tracić teraźniejszości na gadaniu, tak jak postęp przespał swoje dni minione.

Idea współdziałania, nie krępująca w najsłabszej nawet mierze działań samoistnych grup ideowych,—na czas istotnego niebezpieczeństwa — nie jest chimerą, ani złudną próbą godzenia rzeczy niewspółmiernych, z gruntu sobie przeciwnych,—ani tembardziej czczem wypowiadaniem się na temat sprawy, jałowej śmiertelnie. Przeciwnie, wspomniane hasła rozpatrywać należy jako poważne symptomaty zmieniających się wyobrażeń, które z głębi psychologji społecznej podnoszą się ku górze i wyraźnie krystalizują się nazewnątrz. Kojarząc te wyobrażenia, znajdujące już pewien wyraz w pismach wolnomyślnych i postępowych, uznać je musimy przy bliższem ich rozpatrzeniu za podświadome objawy rozumienia nowych nastrojów, które zwiastować mają nowe zjawiska na gruncie rosnącego niebezpieczeństwa klerykalnego. To są zarodki. Pozornie przeczą temu—ostatnie namiętne wypowiadanie się szeregu publicystów z różnych środowisk postępowych. Wypowiedzenia te, mające unicestwić całe odmienne ideologje, nie osłabią działania omawianych tu potrzeb, które nawet w ogniu polemicznem i wartkim potoku gniewu coraz śmielej i coraz głośniej mówią o sobie. Te zaburzenia słowne wywołują nie groźniejsze zjawiska, niż meteory papierowe, które na jedno mgnienie zatrzymują na sobie wzrok widza, przytem nie dają mu nawet zadowolenia czysto estetycznego. Kto chce się „odgradzać“ *bezwzględnie i na całej linji* od lewicy społecznej, będąc, jak p. Gorecki, niefortunnym naśladowcą p. Milleranda, lub kto chce negować aż do mańjactwa wszystko, co jest postępowe, a nie marksistowskie (naturalnie w rozumieniu pewnej grupy) — jak p. Radek—niech się odgradza i niech neguje! Odgrodzenie to przecież nie jest tak mocne, by rozwój lewicy nie miał go zgiąć, skręcić i precz odrzucić, ani też nałogowa negacja nie jest znów tak zawrotną głębią, by miała pokryć pożądaną myśl twórczą i zaprzepaścić ją na wieki.

*Henryk Lukrec.*

# ELIZA ORZESZKOWA.

Z pomiędzy powieściopisarzy, których wydała epoka pracy organicznej, najsilniejszy i najtrwalszy wpływ na umysły wywarli Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa. Jeżeli w trójcy tej Sienkiewicz reprezentuje *wiarę*, a Prus—*nadzieję*, Orzeszkowa pozostaje najwymowniejszą rzeczniczką *miłości*.

Sienkiewicz przebył z początku znikomo krótki okres młodzieńczego idealizmu, niezwarzonego jeszcze przez zabójcze tchnienie niwelującego rozsądku. Ale otrząsnął się wprędce z obcego sobie nalotu dążności opozycyjnych. Bohater żyje chwilę obecną, a umiera dla idei przyszłości. Sienkiewicz kazał nam cofnąć się w przeszłość, abyśmy tem snadniej mogli zapomnieć o tem, co należy czynić obecnie. Kult przeszłości nie był dla niego jasną strugą, z której utrudzony wojownik czerpie ożywczy napój dla ochłody śród walki,—ale piaskiem, w którym struś głowę ukrywa, wierząc, że uniknie niebezpieczeństwa. A potem utulił myśl polską w całun kościelny, zapragnął ukołysać ją do snu pieśnią pobożną, i szlachetnemu pogaństwu wolności, odwagi i siły duchowej kazał paść w proch pod krzyżem. Piękno obrazów, siła słowa podbiły przeciętność—i oto Sienkiewicz stał się wszechświatową sławą.

Bolesław Prus przejął się najbardziej z tej trójcy hasłem odrodzenia narodu przez ciągłą, zmudną a wytrwałą pracę. Praktyczność, cechująca jego naturę, nie pozwoliła mu zaprzątać się ideami o charakterze

syntetycznym, wstrzymała go od wstąpienia na bezkresne przestrzenie porywów wszechludzkich. Praca dziennikarska zmierzała do zaradzenia rzeczywistym brakom życia aktualnego narodu, a nowele były poczęści artykułami, ubranemi w formę artystyczną. (Nie zmniejsza to w niczem ogromnej wartości artystycznej wielu z nich). A jednak rozumiał Prus wybornie—bardziej w intuicyjnem odczuciu, niż przez logiczną pracę myśli—jak daleką jest istota duszy polskiej od ideałów pracy organicznej. Szarpanina wewnętrzna Wokulskiego i jego marny koniec—cóż za wspaniałe dokumenty do studjów duszy polskiej! Artysta pokonał i zdemaskował publicystę. Bo pomimo wszystko Prus wierzy głęboko w tajemną dostojność tej duszy i wypatruje dla niej lepszej przyszłości, naprzekór przemijającym hasłom.

W tej sferze, którą Sienkiewicz uważa za naturalną przewodniczkę narodu, a którą Prus kłuł żądłem zręcznej satyry, przyszła na świat i wychowała się Eliza Orzeszkowa.

Ruch szóstego dziesiątka lat otworzył przed zdumionemi oczyma młodej kobiety nieprzeczuwane dotąd widnokręgi. Tętniał on pełnem życiem młodości i ideału, naprzekór potępieniom „trzeźwości politycznej" Tarnowskich i Spasowiczów. Dokonał przełomu w życiu potulnej wychowanki pp. Sakramentek, urabiając ją na kobietę świadomą swych dążeń i potrzeb najbliższych społeczeństwa.

Pod tym względem zachodzi duże podobieństwo między Orzeszkową i Prusem.

Cele literackie Orzeszkowejześrodkowywały się również na sprawach najbliższych, na zagadnieniach najbardziej palących chwili bieżącej. Ale tam, gdzie Prus przystępował ze skalpelem analityka i z ostrą pincetą bezwzględności krytycznej, Orzeszkowa obnażała rany po to tylko, ażeby je zaraz opatrzyć. Nie było w tem intellektualizmu, który bądź-co-bądź cechuje satyryków, a tylko czynne uczucie, gorąca chęć zaradzenia złemu.

Tradycje czystej kobiecości, datujące jeszcze od czasów rycerskich, panują bardzo silnie w otoczeniu, w którem wzrosła Orzeszkowa. Mieszczanka i proletarjuszka zatraciły już dawno w kieracie zażartej walki o byt tę mieszaninę wyższości i niższości kobiecej, cechującą tak znakomicie kobietę epoki feodalnej. Była ona królową serc, przed którą pochylały się kornie głowy królów, możnych władyków i znamienitych rycerzy; a zarazem była potulnem, zahukanem stworzeniem, poddanem pod bezwzględne a nieraz tyrańskie rządy najpierw najbliższej rodziny a potem — męża i pana. Objawy szczątkowe ale wyraźne takiego pojmowania stanowiska kobiety widziała Orzeszkowa na każdym kroku w sferze otaczających ją ludzi. Ba, nawet ona sama stała się ofiarą konwenansu, wychodząc z woli rodziny za obcego sobie człowieka, który nie potrafił zaważyć w jej życiu.

Z całym impetem młodocianego serca, które drżało pragnieniem pracy i wywalczenia zwycięstwa dla ukochanych ideałów, zabrała się Orzeszkowa do sprawy wyzwolenia kobiet. Sprawie tej poświęciła rozprawkę teoretyczną p. t. „Kilka słów o kobietach" i szereg powieści jak „Pamiętnik Wacławy", „Marta", „Marja", „Ostatnia miłość" i „Pan Graba". A prócz tego niema prawie utworu Orzeszkowej, w którym kwestja ta nie byłaby poruszona, jako temat uboczny, lub zademonstrowana bez komentarzy na typach występujących tam kobiet.

Postulaty Orzeszkowej są bardzo skromne i proste, należą do momentów przezwyciężonych już dawno przez kulturę współczesną. Ale nie wolno zapominać o tem, że były one stawiane przed 40-tu laty i że autorka zwracała się nadewszystko do sfery najbardziej wstecznej—do ziemiaństwa.

Kobieta musi przestać być tylko służebnicą lub panią czy też jednem i drugiem zarazem. Powinna stać się pełnym człowiekiem, uzdolnionym, do samodzielnej pracy. Wychowanie ma dać jej nietylko wyrobienie uczuciowe i intellektualne, ale również przygotować ją do pokierowania życiem swem na własną rękę, do zdobycia niezależności moralnej i materjalnej. W dziełku „O kobietach" wylicza autorka cały szereg zawodów, w których kobiety mogłyby znaleźć pole do pracy, i wogóle nie szczędzi rad czysto praktycznych. Z książki swojej pragnie uczynić poprostu podręcznik życiowy dla kobiet. Nie teoretyzuje, nie rozważa, nie sądzi surowo—wyciąga rękę pomocną do pokrzywdzonych.

W powieściach przedstawia typy kobiet, zrujnowanych moralnie i materjalnie, a przyczyną tego jest zawsze niezrozumienie zadań życia, następstwo wadliwego wychowania i przesądów konwencjonalnych.

Typem ulubionym Orzeszkowej jest kobieta, rządząca się pragnieniem czystego serca i wskazaniami prostego rozumu. Wacława („Pamiętnik Wacławy"), zdobywa w szkole życia i pod spóźnionym wpływem rozumnego ojca te drogocenne wartości, których nie wpojono jej w dzieciństwie. „Marta" ginie nędznie, jako ofiara przesądów kastowych, nie pozwalających przygotować kobiety do życia. Regina („Ostatnia miłość") i Kamilla („Pan Graba") cierpią strasznie w więzach małżeńskich, narzuconych nieświadomym i nieznającym życia dziewczętom. Natomiast Justyna („Nad Niemnem"), postępując zgodnie z dążeniami swej zdrowej, jędrnej natury, zdobywa szczęście dla siebie i ukochanego mężczyzny i godzi długoletni zatarg między dwoma rodami. Kirłowa (tamże) ratuje byt rodziny, chwytając w silne dłonie zarząd majątku, zaniedbany przez lekkomyślnego męża. A Seweryna („Dwa bieguny") umie się wyrzec miłości, któraby mogła oderwać ją od ukochanych zadań społecznych.

Przeciwstawienie tych kilku typów kobiecych jest dostatecznie wymowne. Ilustruje ono lepiej, niż rozważania teoretyczne, pogląd Orzeszkowej na sprawę kobiecą.

Jeden z dziennikarzy konserwatywnych twierdzi w swem studjum pośmiertnem, że postulaty Orzeszkowej w sprawie kobiecej zostały osiągnięte; dowodem tego ma być fakt, że wszelkie biura przepełnione są pracującemi kobietami. Szkoda, że autor nie wspomniał wcale o wyzysku, któremu podlegają te rzesze kobiet, i nie udowodnił, że należy to również do osiągniętych ideałów Orzeszkowej...

W epoce, kiedy głos jej rozbrzmiewać począł, kobiety (sfery zamożnej nie miały pojęcia o pracy zarobkowej. Teraz uczą się już zarabiać na swe utrzymanie. Stało się to za sprawą rozwoju warunków ekonomicznych, który razem z rozluźnieniem węzłów rodziny prowadzi za sobą konieczność pracy kobiet. Do uświadomienia kobiet o tej konieczności przyczyniły się niewątpliwie pisma Orzeszkowej.

Orzeszkowa przygotowała grunt na którym może rozwijać się współczesne pojmowanie zadań kobiety. Przeciwniczka doktryny materjalizmu dziejowego propagowała dążenie do zdobycia przez kobietę niezależności materjalnej, rozumiejąc, że tylko tym sposobem zdoła ona stać się wolnym i samodzielnym członkiem społeczeństwa, zainteresowanym w jego sprawach narówni z mężczyzną.

A jakim ma być ten mężczyzna, którego współpracowniczką staje się kobieta? kto ma być ojcem dzieci, poczętych przez nią? Jak mają być wychowani synowie z małżeństwa, zawartego z miłości przez dwoje wolnych ludzi?..

Motywem, powtarzającym się nader często w utworach Orzeszkowej, jest przeciwstawienie dwóch ludzi. Jeden porzucił ojczyznę, zagrodę rodzinną i najbliższych (nieraz i ukochaną kobietę), aby szukać na szerokim świecie majątku, znaczenia, sławy; zdobywa

karjerę, ale w sercu nie przestaję nurtować go głucha tęsknota, przyzywająca niemilknącym głosem na zagon ojczysty, do świetlistych ideałów młodości. („Liść uschły", „Czy pamiętasz?", Roman Darnowski w „Australczyku" i t. d.). Drugi pozostał w kraju i pracuje niezmordowanie w trudnych warunkach miejscowych, aby tylko utrzymać kawałek ziemi, odziedziczny po przedkach, aby wytrwać na stanowisku do ostatniego tchnienia. („Australczyk", „Dwaj bracia", Korczyński z „Nad Niemnem", Seweryna z „Dwóch biegunów" itd.). Z dwu tych ludzi pierwszy odznacza się sprytem, obrotnością, energją, jest uczciwy, ale bezwzględny w dążeniu do osiągnięcia swego celu i nie zaprząta sobie głowy sentymentami, do których zalicza poważne a nudne ideały współziomków; drugi ma inteligencję mniej bystrą, obrotność i energję zastępuje u niego żelazna wytrwałość, a siłę jego stanowi nadewszystko wielka miłość do ziemi rodzinnej.

Sympatja Orzeszkowej towarzyszy stale przedstawicielom tego drugiego typu. Praca na zagonie ojczystym i ukochanie ideałów narodowych—to hasło wypisała na swym sztandarze.

Ideały narodowe sprowadzają się tutaj do wiary w ciągłe acz powolne doskonalenie się ludzi przez pracę wewnętrzną. Niema tak drobnych uczuć, tak znikomych zwycięstw nad samym sobą, tak nieznacznych zdobyczy umysłu czy serca, które nie przyczyniłyby się choć trochę do posunięcia człowieka na drodze do doskonałości. „Trzeba wiedzieć, dlaczego bada się psychologję ameby i że to jest takie malutkie ogniwko niezmiernie długiego łańcucha, na którym ziemia i to, co na niej, powoli, powoli wznosi się coraz wyżej. Bez tego łatwo przy badaniach nad amebami, tak jak i przy każdej robocie innej, dostać bolesnego skurczu serca, od którego skurczą się także mózg i ręce, albo zakrztusić się suchym piaskiem pustyni"... („Ad astra"). Ażeby zaś poznać ten związek najdrobniejszego zajęcia ze sprawą doskonalenia się rodu ludzkiego, trzeba posiadać *miłość*.

Na tych czysto uczuciowych podstawach powinien być oparty stosunek człowieka do świata otaczającego; pracować w swoim zakresie nie z musu, a ze szczerego zamiłowania do samej pracy i pojąć żonę nie z wyrachowania a z czystej, prawdziwej miłości; dzieci swoje wychować na ludzi, rządzących się uczuciem prawego serca.

Miłość ma stać się złotym mostem ponad przepaścią rozgraniczeń społecznych. Miłość zaciera różnice urodzenia i majątku („Nad Niemnem"), znosi kontrasty rasowe czy religijne („Ogniwa", „Gedali", „Daj kwiatek"), przezwycięża najjaskrawsze sprzeczności charakterów i usposobień („Cham"), wybacza najcięższe winy („W zimowy wieczór"). Wszystko, co nie jest kierowane przez miłość, jest złem. Chłodny powiew wyrachowania niweczy delikatne kwiatuszki dobra.

Wychodząc z tego założenia niezmąconej miłości, mającej sprowadzić ogólną harmonję świata, Orzeszkowa patrzyła niechętnie na krzewienie się u nas współczesnych doktryn socjologicznych. „Sylwek cmentarnik" i „Widma" dowodzą, że miękka jej natura nie była dostępną dla ścisłych argumentów, [illegible]cza ych przez historję i ekonomję społeczną. Nie mogę oczywiście poczytywać jej za zasługę niezrozumienia zadań epoki, jak to czynią burżuazyjni krytycy z Piotrem Chmielowskim na czele. Ale też nie mogę czynić jej z tego zarzutu. Epoka, w której Orzeszkowa wystąpiła na arenę działalności pisarskiej, środowisko, z którego pochodziła, a nadewszystko ten fakt, że zwracała się w utworach swoich do pewnej określonej sfery ludzi—wszystko to jest dostatecznem usprawiedliwieniem.

Wiara w zwycięzką potęgę wszechogarniającej miłości, jako podstawa credo polityczno-społecznego, jest z naszego punktu widzenia szlachetnem pobłądzeniem wybitnej jednostki, pozostającej pod wpływem minionej już bezpowrotnie epoki; pobłądzenie takie jest bardziej zrozumiałe w naszych warunkach, niż gdziekolwiek indziej, i zasługuje tem bardziej na pobłażliwszą krytykę.

Czysto uczuciowe traktowanie wszelkich zjawisk życia wewnętrznego i zewnętrznego odbiło się wyraźnie również i na stronie artystycznej utworów Orzeszkowej. Podnosiłem to już wyżej, że krytyczny intellektualizm satyryka był zgoła obcy jej naturze. To też dzieła czysto satyryczne (np. „Pompalińscy") wychodzą słabo i nie wywierają głębszego wrażenia. Niesłychana, czysto realistyczna ścisłość opisów nuży i nietylko nie uplastycznia obrazów, ale przeciwnie kawałkuje je, rozdrabnia i zaciera mnóstwem zbytecznych szczegółów. Najwyraźniej objawia się to w próbach ironizującego malowania miejsc i osób. Braknie tu Orzeszkowej hipokryzji prawdziwego artysty, który udając, zachowuje zupełny spokój i nie lęka się złapania na kłamstwie. Do jej dzieł satyrycznych można zastosować zdanie Goetego: „Man merkt die Absicht und man ist verstimmt".

W tem leży przyczyna tej pozornej zagadki, dlaczego Orzeszkowa wykazuje najmniej talentu w opisywaniu rzeczy najbliższych sobie, t. j. życia sfer szlacheckich i mieszczańskich. Ujęcie negacyjno-krytyczne, które kieruje tutaj zamierzeniem artystycznem, nie udaje się, jako zbyt obce naturze autorki. Natomiast tam, gdzie może puścić wodze swemu uczuciu, gdzie maluje środowiska, którym chce nadać barwy jasne, choć nie zawsze bardzo pogodne, tam zwycięża szczery, bezpośredni artyzm kochającej duszy. Sceny z życia szlachty zaściankowej i chłopów, obrazy z ghetto żydowskiego mają napięcie kompozycji i siłę wyrazu, których trudno było się spodziewać po autorce rozwlekłych i nudnych powieści dydaktycznych. Fakt ten mógłby być jednym jeszcze argumentem na korzyść dawno stwierdzonego poglądu, że literatura tendencyjna ma bardzo mało albo nic zgoła wspólnego ze sztuką.

Chcąc zdać sobie sprawę z wartości jakościowej i ilościowej twórczości zmarłej autorki, trzeba stać jednocześnie na stanowisku publicysty i krytyka literatury. Pierwszy pochyli głowę z uznaniem przed owocną działalnością na polu sprawy kobiecej i tolerancji religijnej względem żydów: w okolicznościach, zawarunkowanych przez stan społeczeństwa danej epoki i przez własne pochodzenie uczyniła Orzeszkowa bardzo wiele. Drugi zatrzyma skupioną uwagę na tych utworach, w których bezpośredniość odczuwania i intuicyjne odgadywanie życia łączą się z ogromnym darem postrzegania w harmonijną całość artystyczną. A obydwaj połączą się we wspólnym podziwie i czci głębokiej dla mocy miłości, która promieniuje z każdej karty jej książek.

*J. M. Muszkowski.*

---

## NA STRAŻY HONORU.

Śmieszni są ludzie, mniemający, że rozporządzają zasobem spiżowych pocisków, które przecież w locie, tuż po za murami Towarzystwa literatów i dziennikarzy tracą swoje śmiercionośne własności i przeistaczają się znagła w papierowe koguciki.

Panowie Rabscy, uzbrojeni w wielce prymitywne maczugi, mające zastąpić argumentację słowną, wkrótce sami pojmą zapewne, że przecież im nie do twarzy z przepaską Temidy na oczach. Przepaska ta nadaje

obliczom naszych arbitrów jakiś wyraz paradoksalny, z ich wytwornych postaci czyni nieznane dotąd karykatury, znaki zapytania. Są tak biedni i tak bezsilni w swojej złości, że nie pomni na jakiekolwiek pozory sędziowskiej powagi krztuszą się jednym przecież tylko wyrazem: potępiamy, potępiamy, potępiamy!

Jak dalece kruche i słabe jest stanowisko Tow. Dzien. i Lit. i jak niefortunne są wystąpienia, a raczej wykroczenia Zarządu, świadczy krok redakcji *Prawdy*, która w imię niezależności od kliki, poświęciła swego współpracownika p. Rogowicza, związanego z tą kliką. *„Prawda"* (zarówno jak i *„Kurjer Poranny"*, *„Myśl Niepodległa"*, *„Odrodzenie"* i *„Społeczeństwo"*) z czysto formalnego stanowiska przeciwstawia się w artykule p. n. „Na śliskiej drodze" uroszczeniom arbitralnym naszych zorganizowanych literatów i dziennikarzy.

*„Nowa Gazeta"* formalne zakwestjonowanie samozwańczych uchwał nazywa takim wywodem adwokackim, który „nie wytrzymuje nawet krytyki pod tym kątem widzenia". Uważa nawet, że „łatwo go zburzyć przypomnieniem nie tylko zdań, ale też regulaminów i praktyki szeregu instytucji, rządzących się przepisami najbardziej konstytucyjnemi, a powołanych do obrony czci całego zawodu lub grupy społecznej". *Nowej Gazecie* wydaje się ponadto, że Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów stoi na „straży honoru i etyki zawodowej". Są to wywody sprzysiężonych doradców instytucji, uzurpującej władzę, które oczywiście wytrzymują krytykę tylko z punktu widzenia notorycznej kliki.

Towarzystko lit. i dzien. jest nie tyle stowarzyszeniem zawodowem, ile cechem, obejmującym w jednej organizacji majstrów i podmajstrzych dziennikarskich. W składzie swoim Towarzystwo to jest jaknajbardziej różnolite. Są wydawcy, którzy mają bronić interesów autorów, przez nich wyzyskiwanych, mają stać „na straży ich honoru" i „etyki autorskiej". Są redaktorzy i właściciele pism, czyli przedsiębiorcy w dziennikarstwie, którzy uważają się za obrońców nie tyle własnych interesów, ile swoich najemnych współpracowników. Słowem, są to ci fenomenalni idealiści, którzy wznoszą się po nad poziome dążenia materjalne i ludziom przez los skrzywdzonym ofiarowują nie tylko „chleb i pracę", lecz i obronę, najbardziej wzniosłą, bo pozbawioną wszelkich cech zwykłego egoizmu kapitalistycznego. Oczywiście, ta rozczulająca bezinteresowność i ta wzniosła obrona, wytwarzająca harmonję w Towarzystwie Lit. i Dzien., trwać będzie dopóty, nie wzbudzając żadnych podejrzeń i wątpliwości, dopóki bierna i bezkrytyczna grupa białych murzynów dziennikarskich ulegać będzie woli „panów" i czynić zadość przez głosowanie ich „pańskim" zachciankom i „arystokratycznym" gestom. Niech tylko jakiś niewolnik żachnie się i odmówi swego głosu w sprawie jakiegokolwiek potępienia, spotka się sam niezwłocznie z potępieniem jakiegoś pana Rabskiego lub p. Lorentowicza, który ponadto zagrozi mu „zerwaniem wszelkich osobistych stosunków" jako z człowiekiem, pozbawionym elementarnego poczucia „etyki zawodowej" i nie stojącym na „straży honoru" Towarzystwa. Niech jakaś grupa poddanych zażąda tylko istotnej poprawy warunków najmu w dziennikarstwie i żądania swe poprze wyraźną postawą, która niedwuznacznie znamionować będzie słuszną wolę i nieugiętą siłę — w tej samej chwili prysną sztucznie odlane zasady „etyki zawodowej" i ujrzymy w tem młem Towarzystwie naturalny podział na pracobiorców i pracowników, o zgoła odmiennem poczuciu „honoru" i pojmowaniu „etyki zawodowej".

Sztuczny dobór ludzi pod względem stanowisk w prasie, lecz naturalny pod względem tępej uległości koterjom, wytworzył heterodoksyjne Towarzystwo, które w spokoju gnuśnieć może przez długie lata i istnieć w tej przedziwnej równowadze, jaką wytwarza stosunek sił kilku panów i rzeszy niewolników, niemych i bezkrytycznych.

Chcąc jednak pozorować żywotność Towarzystwa, członkowie Zarządu, odpowiadający za wegetację instytucji, od czasu do czasu zrzucą naprędce tużurki i włożą togi arbitrów, by wyniośle ogłosić puste potępienia. Chcąc zaś ukryć różnowierczość stowarzyszonych, zgrupowanych na nienormalnych zasadach organizacyjnych, wymuszą jednomyślność dla tych potępień, lecz już nie pod groźbą pięści pana Rabskiego, lecz pod groźbą zerwania „wszelkich osobistych stosunków" przez pana Lorentowicza.

---

## POLITYKA ROBOTNICZA RZĄDU ROSYJSKIEGO W OKRESIE 1905 — 1910.

### I. Sytuacja ogólna.

Naczelnem hasłem dzisiejszego rządu było dotychczas: „Najpierw uspokojenie, później reformy!"

Zgodnie z I-szą częścią swego programu, rząd istotnie „uspokoił" państwo, a „uspakajanie" to najdotkliwiej odczuć się dało klasie społecznej najbardziej niespokojnej, t. j. robotnikom. Klasa robotnicza w Królestwie Polskiem została zdziesiątkowana. Pozostali towarzysze wpadli w apatję, w pewne odrętwienie, z którego powoli i z trudnością się wydobywają. Ruch robotniczy masowy podupadł, skurczył się, powrócił niemal do czasów przedrewolucyjnych. Każde wystąpienie masowe, chociażby pozbawione zupełnie charakteru politycznego, spotyka się z represjami rządu. Zdawaćby się mogło wobec tego, że „uspokojenie" nastąpiło, że nareszcie zrealizują się obiecywane reformy.

Jakie są widoki tej realizacji, co klasa robotnicza od rządu dzisiejszego i od zgromadzeń prawodawczych oczekiwać może—o tem sądzić można z enuncjacji posła do Dumy Kuzniecowa, który w sposób poniższy charakteryzuje stosunek Dumy do robotników:

„Jako członek Komisji robotnicznej Dumy, twierdzić mogę z całą stanowczością, że polityka większości Dumy wobec robotników jest polityką zemsty i kary za niedawny ruch robotniczy. Projekty, wnoszone przez rząd do komisji, nie tylko nie zostają zmieniane na korzyść robotników, lecz przeciwnie— przerabiane są często na ich niekorzyść. Nieraz słyszałem, jak niektórzy posłowie, będący zarazem i fabrykantami, wyrzucali ministrom ich zbytni liberalizm z powodu projektu ubezpieczenia od chorób zawodowych. Nie lepiej rzecz się ma z projektami o normalnym odpoczynku w zakładach handlowych i rzemieślniczych. W komisji — prawa, przyznane pracownikom tych zakładów, zostały obcięte nawet w porównaniu z projektami rządowemi... Co do stosunku komisji Dumy do żądań przedstawicieli frakcji socjalno-demokratycznej, to można tylko jedno powiedzieć: wszystkie nasze wnioski, nawet najniewinniejsze, były przez

komisję odrzucone. Frakcja socjalistyczna zmuszona jest pracować w nienormalnych warunkach. Z jednej strony sama partja socjalistyczna jeszcze nie wyjaśniła swego zadania w wielu kwestjach bieżących, warunki zaś zewnętrzne nie pozwalają posłom zasięgać opinji mas robotniczych; z drugiej strony—skład III-ej Dumy wpływa ujemnie na pracę frakcji socjalistycznej. Jednakowoż frakcja trwała na swem stanowisku, i nie jej jest winą, jeśli często wykazywała swą bezsilność. Ze zdaniem naszem często liczą się kadeci i grupa pracy, a i październikowcy często zwracają się do nas w celu pertraktacji. Tylko skrajna prawica domaga się wyrzucenia socjalistów z Dumy.

A wobec tego dla frakcji socjalno-demokratycznej w Dumie pozostaje droga od samego początku 'wytknięta, a mianowicie — krytyka zasadnicza zarówno postępowania i projektów rządowych, jak i większosci dumskiej, oraz ześrodkowanie uwagi na całym szeregu zagadnień lokalnych i ogólnych, najbliżej obchodzących szerokie masy robotników i żywioły demokratyczne. „(Ze sprawozdania frakcji socjalno-demokratycznej o działalności w Dumie).

Znaczenie tej frakcji, jak i wogóle znaczenie całej Dumy, owej smutnej zdobyczy rewolucyjnej, sprowadza się do tego, że to, co dawniej stanowiło tajemnicę rozmaitych departamentów i kancelarji ministerjalnych, dziś — jest przedmiotem publicznych obrad w z gromadzeniu prawodawczem. Jawność — to główna zdobycz, to największa wartość rosyjskiego pseudokonstytucjonalizmu.

### II. Polityka prawodawcza rządu wobec klasy robotniczej.

Z powyżej opisanym nastrojem reformatorskim warto zestawić reformy przez rząd obiecywane w wielkich latach poruszeń masowych 1904—1906.

W r. 1905 bezpośrednio po Haponadzie zwołano naradę przemysłowców, na której przewodniczył minister finansów; obecnych było 400 osób. W opinjach rządu i fabrykantów ujawniła się niezgodność. Rząd przyczynę rozruchów upatrywał w nędzy robotników; przedsiębiorcy—w braku wolności politycznej. Memorjał fabrykantów moskiewskich złożony w lutym 1905 r. Komitetowi ministrów oskarża ministerjum spraw wewnętrznych o sprowokowanie przez „Zubatowszczyznę" ruchu ekonomicznego wśród robotników w celu odwrócenia ich uwagi od zagadnień natury politycznej. Wkrótce utworzono komisję pod przewodnictwem senatora Szydłowskiego „dla niezwłocznego wyjaśnienia przyczyn niezadowolenia robotników w Petersburgu i okolicach"; w komisji mieli uczesticzyć i robotnicy. Gdy jednak robotnicy postawili szereg warunków, na których zgadzali się wziąć udział w obradach, komisję rozwiązano. Równocześnie niemal wyznaczono szereg komisji dla zbadania kwestji robotniczej przy ministerjach wojny, marynarki i komunikacji. Przedtem jeszcze komitet ministrów polecił utworzenie komisji dla przygotowania projeków praw zapowiedzianych w Manifeście z 25 grudnia 1904 r. o ubezpieczeniach robotniczych od niezdolności do pracy. Polecono również ministrowi finansów zająć się kwestją organizacji robotniczych, skrócenia dnia roboczego, prawa strejkowania. Na daleko sięgające żądania wysłanej do ministra delegacji moskiewskiego „T-wa wzajemnej pomocy robotników" minister odpowiedział zgodą i poważnemi obietnicami. W połowie marca zaczęły się posiedzenia nowej jeszcze komisji, zorganizowanej z rozkazu Cesarza; robotników do niej nie powołano, lecz zaproponowano im składanie wniosków na piśmie. W maju komisja ta obradowała wraz z przemysłowcami, i znowuż w odpowiedzi na żądanie rządu polepszenia bytu ekonomicznego robotników fabrykanci dowodzili potrzeby reform politycznych i tłomaczyli się, że katastrofy wojenne (klęska Cuszymska) odbierają im możność uczestniczenia w obradach, wyprowadzając ich z równowagi.

Do tego się działalność reformatorska rządu ograniczyła, jeśli nie liczyć ukazu z 2/15 grudnia 1905 r. kasującego działanie art. 1358 i 1358[1] starego kodeksu karnego, zawierających odpowiedzialność karną za strejki, ale równocześnie wprowadzającego większą jeszcze odpowiedzialność za „przerwę pracy w przedsiębiorstwach o znaczeniu społecznem lub państwowem oraz w instytucjach rządowych." Drugą reformą mają być przepisy z 4/17 marca 1906 r. o stowarzyszeniach i związkach oraz o zgromadzeniach. Życiowe jednak znaczenie tych reform aż nadto dobrze jest nam znane. Urzędy fabryczne przyznały przedsiębiorcom prawo nakładania kar za strejki; senat—dał im prawo lokautowania robotników, żądających usunięcia majstra; kronika administracyjna jest obficie upstrzona wiadomościami o aresztowaniach i wygnaniach za „zmuszanie do strejku." Dziesiątki związków zawodowych zamykane są za zwykły udział w walce ekonomicznej.

Poza tem wszystkie te komisje po upadku powstania moskiewskiego w grudniu 1905 r. poczęły pracować coraz to leniwiej. Dopiero w końcu r. 1906 zwołano komisję dla opracowania porozpoczynanych projektów praw, dotyczących pomocy lekarskiej, ubezpieczenia od chorób, kalectwa, niezdolności do pracy i starości, dnia roboczego, umowy najmu i t. d. W komisji tej inny panował już nastrój, niż w r. 1905. Rząd nie stawiał uczestniczącym w komisji przemysłowcom żadnych żądań, natomiast okazywał wielką dbałość o ich interesy. Pomimo to fabrykanci bezustannie się użalali, że rząd zbytnio pragnie obdarzać robotników. Wówczas to powstał projekt trzydniowego terminu dla wymówienia pracy zamiast dziś obowiązującego 14-to dniowego terminu.

Jedna z tych licznych komisji w połowie r. 1908 ukończyła swe prace nad projektem ubezpieczeń od choroby, ale projekt ten został znacznie zmieniony na żądanie ministerjum spraw wewnętrznych. Przedstawiciel ministerjum tego wymógł poddanie zgromadzeń pełnomocników kas chorych pod ogólne przepisy o zgromadzeniach, a przepisy te znane są jako wielce krępujące wolność zgromadzeń; kasy chorych miały podlegać najściślejszej kontroli gubernatora i policji; delegaci zaś wybrani przez fabrykantów i robotników mieli być zatwierdzani przez gubernatora. Tego było już zanadto nawet dla przedstawicieli ministerjum handlu i przemysłu i dla fabrykantów, którzy zaprotestowali przeciwko „poprawkom" wniesionym do projektu przez ministerjum spraw wewnętrznych.

Z obietnic w czasie rewolucji dawanych o 10-cio godzinnym dniu roboczym powstały przepisy o odpoczynku pracowników handlowych i rzemieślników. Przepisy te wydane poza Dumą zostaną przez Dumę należycie obcięte. O 10-cio godzinnym dniu roboczym, powszechnie obowiązującym, nikt dziś nie myśli; znane są natomiast w Łodzi fabryczki, gdzie praca trwa od 4-ej zrana do 9 wieczór, t. j. po 16 godzin na dobę. To też z politowaniem spoglądają sfery „miarodajne" na nawoływania ministerjum handlu i przemysłu do energiczniejszego zajmowania się reformami.

(d. c. n.) *E. Grabowski.*

## O HUMORYSTACH.

(Feljeton).

Łatwo spostrzedz, że humoryści budzą nieraz podziw. Ze zdumieniem przyglądają się człowiekowi, który umie śmiać się wśród klęsk i ruin tego świata. Jest to tajemnicze zwierzątko, które wielu interesuje. Pewne

zwycięzkie formy humoru mówią często „nie”, gdy inni ludzie powtarzają płaczliwie: „ach, tak, tak”... A jednak humorysta jest to nieraz człowiek, który wyrzekł „nie” najdroższym pragnieniom. Może zawiódł się na sobie. Może spostrzegł pewnego dnia, że nie widzi piękna i powagi na tym świecie i wino jego humoru zalewa wiecznie jątrzącą się ranę. Humor może płynąć z przesytu i zawodu, źródła jego bić mogą na pustyniach nudy. Humoryście, jak Mojżeszowi, wzbronionym być może wstęp do Ziemi Obiecanej. Może to być człowiek nadzwyczajnie samotny i chory przez to, że nie umiał przedrzeć wzrokiem śmiesznych firanek, poza któremi kryje się wzniosłość i groza piękna.

Humor bywa często chorobą, a humorysta — opanowanym. Straszliwa rozkosz, jaką odczuwa humorysta tworząc, ma w sobie coś z upojenia śmiertelnemi narkotykami. Jest to nałóg. Każdy głębszy humorysta przez całe życie dąży do przezwyciężenia swego humoru. Nie chodzi mu o pozbycie się humoru, lecz o opanowanie go, o taką zmianę psychiczną, by ustało chroniczne parcie do humoryzywania.

Wyższość humorysty wobec tłumu polega na tem, że jest to rzekomo człowiek wolny. Świat bowiem składa się z niedobrowolnych utyskiwaczy, którzy wloką za sobą nieszczęście. Niedoskonałość i ubóstwo własnego ustroju biorą za niedoskonałość i ubóstwo świata. Lekkość ruchów myślowych humorysty sprawia, że poczytują go za wyzwolonego od trosk, gdy tymczasem on po prostu gorączkuje. Jego wesołość ma niezdrową jaskrawość liścia o późnej jesieni. I po wybuchach olśniewających rakiet, następuje zazwyczaj czarna, ukrywana przed ludźmi, Noc.

Lecz tak bywa tylko w sferze uczuć wolnych i głębokich. Lekkie zaś błazeńskie formy humoru kwitną tam, gdzie brak charakteru nie pozwala potargać więzów i odrzucić precz przepisanych norm uczuciowych. Królestwo filisterji ma swą własną konstytucję literacką. Literat obowiązany jest opisywać filistra i jego małżonkę wzdłuż, wszerz i wpoprzek. Inne sfery np. sfera ludu dozwolone są o tyle, o ile nie wyrastają w dziele jako potęga zagrażająca. Lud lubi się jako odrębność prowincjonalną i malowniczą dekorację (podkówki, pasy, sukmany, oj jody, jody!). Czasem ma się w nim nadzieję, jako w sile, która z czasem świadomie dźwignie na swych barkach ciężar obowiązków narodowych i ulży.. nam. We własnym domu filister znosi dość łatwo myśl liberalną, lecz nie znosi wygórowanych uczuć. W ten sposób jest on zaporą dla sztuki, bo wyższe formy piękna niemożliwe są bez olbrzymiego rozrostu uczuciowego. Wydaje się więc, że ktoś, jeśli nie artysta, winien być nieprzejednanym względem filisterji. Lecz potęga materjalna filistra sprawia, że zakuwa on w swój pancerzyk nawet niezadowolonych.

Odbywa się to w taki sposób:

W literaturze, ogrodzonej chińskim murem zastrzeżeń, robi się wkrótce duszno i młode wrażliwe umysły nie mogą się żadną miarą pogodzić z tą atmosferą. Lecz wtedy otwiera się furtka ocalenia dla tych, co nie chcą stanowczego zerwania i dążą do kompromisu. Jesteście niezadowoleni — i owszem! Możecie przemycać swe niezadowolenie oraz wszelkie idee i typy, lecz jedynie w formie żartobliwej, humorystycznie-chwiejnej. Literatura, „równowogi społecznej“ nie boi się myśli, lecz boi się towarzyszącego myśli napięcia, ognistego żaru, w którym osobowość filisterska topnieje i rozpływa się w upokorzeniu. Zjawiają się młodzi „obiecujący“ pisarze, którzy swe niezadowolenie ubierają w formę drwin i żartów, błyskotliwej ironji — słowem wytwarza się legjon *kpiarzy*. Kpiarstwo w literaturze jest odpowiednikiem flirtu w salonie: i to i owo nie zobowiązuje do niczego i zawsze w chwili odpowiedniej pozwala się cofnąć i przybrać postawę przyzwoitą. Pisarz ubiera się w barwy arlekina i tę swoją maskaradę tłomaczy względami abstynencji wobec życia, godnej umysłów wyższych. W istocie jednak kpiarstwo jest dowodem choroby moralnej, neurastenji duchowej i braku woli. Skutkiem tej choroby młodzi pisarze nie zgrupowali się dotąd koło jednego organu i nie wytworzyli silnej placówki. Natomiast wielu z nich zaciągnęło się pod znaki pozbawionych rzetelnego charakteru pism reakcyjnych, zatruwających atmosferę banalnością, lecz posiadających gotówkę. A jednak, gdyby chcieli swe niezadowolenie z obecnej butwiejącej formy życia w Polsce wypowiadać gorąco i mężnie, nie zaś lekko i drwiąco, to nigdy wspomniane pisma nie tolerowałyby ich dążeń oraz uznały, że owi panowie są ludźmi szkodliwemi i... bez talentu (niestety!).

*Leon Choromański.*

# DRUGI WSZECHROSYJSKI ZJAZD LITERATÓW.

(5—11 Maja. 1910 r.).

Rozłam w kołach literackich rosyjskich, spowodowany przez agitację części prasy postępowej przeciwko idei zwołania 2-go zjazdu literatów wpłynął oczywiście ujemnie na liczbę jego członków. Pisma umiarkowanie-opozycyjne (jak naprzykład organy k.-d. „Riecz“ i „Russkija Wiedomosti“) propagowały usilnie bojkot zjazdu, co musiało mieć wpływ na pisma prowincjonalne pokrewnego kierunku. Wstrzymała się od udziału w zjeździe redakcja poczytnego miesięcznika ludowców „Russkoje Bogatstwo”. Z pomiędzy stowarzyszeń literackich bojkotowały zjazd: „Moskiewskie towarzystwo pracowników prasy perjodycznej”, Związek korespondentów z Dumy Państwowej oraz filantropijny „Litieraturnyj fond” w Petersburgu. Ostatecznie więc prasa perjodyczna była przedstawiona na 2-m zjeździe przez prawicę i skrajną lewicę.

Z ogólnej liczby (ok. 300) zapisanych członków uczęszczało na posiedzenia zaledwie 100—150 osób. Charakterystycznem jest, że prawica w robotach zjazdu żadnego udziału nie brała: na jednem tylko z posiedzeń udało mi się usłyszeć referat byłego „trudowika”, dziś nacjonalisty profesora Łokotia (członka I-ej Dumy Państwowej). Nawoływał on do walki z ekonomiczną przewagą „inowierców”, t. j. Polaków i żydów, twierdząc, iż „myśl społeczna i prasa prawdziwie demokratyczne nie mogą nie stać na gruncie narodowym”, z czego wynika, że władza państwowa winna podtrzymywać ekonomicznie Rosjan, do których czcigodny profesor zalicza też i ukraińców. Zaś prasa musi przyjść w tem rządowi z pomocą.

Referat ten nie tylko nie miał powodzenia, lecz wywołał gremjalne opuszczenie sali przez słuchaczy. Tak się skończyła jedyna „prawdziwie—rosyjska” próba na zjeździe literatów.

Naogół wygłoszono na zjeździe około 30 referatów. Ich wynikiem najważniejszym było postanowienie zjazdu o wytworzenie wszechrosyjskiej organizacji zawodowej literatów. Rezolucja, przyjęta w tej kwestji, brzmi:

„Przyjmując pod uwagę, że, z rozwojem kapitalizmu prasa perjodyczna organizuje się coraz więcej na zasadach kapitalistycznych, a działacze prasy przekształcają się na proletarjat literacki; że, wraz z przeistoczeniem się perjodycznych organów prasy w przedsiębiorstwa handlowe rozwija się w nich usilnie przekupstwo; że, z przeniknięciem kapitału do prasy pogarsza się szczególnie sytuacja drobnej prasy i jej pracowników—drugi zjazd literatów uważa za konieczne zorganizowanie związku zawodowego literatów i publicystów oraz stworzenie własnego zawodowego organu prasy”.

W myśl tej uchwały, komitet organizacyjny, obrany na zjeździe i składający się ze znanych publi-

cystów rosyjskich (p.p. Arabazyn, Wodowozow, Gradowskij, Kranichfeld, Jordanskij, L. Słonimski i in.) ma poczynić kroki w instytucjach odpowiednich ku rychlejszemu zatwierdzeniu ustawy „Związku".

Równolegle ze „Związkiem literatów" mają działać powtarzające się perjodycznie zjazdy literatów. Oprócz celów natury ekonomicznej projektowanem jest podniesienie poziomu etycznego pracowników pióra przez wytworzenie stałego sądu honorowego. Na członków sądu przez 2 zjazd literatów zostali obrani: p.p. P. Boborykin, K. Barancewicz, W. Wodowozow, K. Arsenjew, G. Gradowskij, J. Żyłkin (członek I-ej Dumy), A. Potriesow, E. de-Roberti, M. Sokołow, S. Muromcew (prezes I-ej Dumy), słynna Wiera Zasulicz, L. Słonimski, E. Szolp (członek I-ej Dumy) i E. Czirikow.

O ile te dwie ustawy przebrną szczęśliwie Scyllę i Harybdę przeróżnych departamentów, 2 zjazd literatów osiągnie niewątpliwie wielkie zwycięztwo moralne. Brak stałej organizacji zawodowej daje się oddawna odczuć w rozluźnionych szeregach literatów rosyjskich.

Z mniej ważnych uchwał zjazdu zasługuje na uwagę postanowienie o prawach autorów. Głosi ono, że prawo na utwory zmarłego literata przysługuje jego spadkobiercom w ciągu lat 30 od dnia śmierci autora, zaś tłumaczenia nie mogą być nikomu wzbronione.

Ciekawy nadzwyczaj był referat p. M. Jordańskiego (przedstawiciela miesięcznika „Sowremiennyj Mir") o statystyce prasy, raczej kar prasowych. Jak się okazuje, kary pieniężne, złożone przez 519 wydawnictw w ciągu lat 3 (1907—1909) wynoszą 369.275 rubli. Przez ten sam przeciąg czasu pociągnięto do odpowiedzialności sądowej redaktorów: w roku 1907—502, w r. 1908—89 i w r. 1909—54. Skazano na dłuższe lub krótsze zamknięcie: w r. 1907—175, w r. 1908—101, i w r. 1909—65.

Zmniejszenie się liczby pociągniętych do sądu wydawnictw tłumaczy się — niestety — nie zmianą jakąś „kursu" rządowego, jeno przedwczesną śmiercią wydawnictw: zrazu — organów partyjnych, potem — bezpartyjnej lewicy i wreszcie pism zawodowych.

Referaty, wygłoszone na zjeździe, były po większej części treściwe (w szczególności pp. Kranichfelda, Arabażyna i Słonimskiego), lecz dawała się w nich odczuwać jakaś bezbarwność, słyszało się coś niedopowiedzianego. Przyczyniło się tu widocznie; stanowcze „veto" rządu co do omawiania stanu bezprawnego prasy rosyjskiej.

Rzecz oczywista, że prawie na każdem posiedzeniu przedstawiciel policji powstrzymywał zapędy paru mówców...

Bądź co bądź, 2 zjazd literatów nie oszczędzał sobie pracy, lubo ta praca odbywała się w warunkach, mało dlań sprzyjających. Za sam tylko projekt wszechrosyjskiej organizacji zawodowej wdzięczny mu będzie rozrzucony po ogromie Rosji tłum, „braci piszącej". Może więc sobie powiedzieć ze słusznem prawem ta garstka ludzi, co się „naprzekór żywiołom" zebrała: zrobiliśmy, cośmy mogli. *Adam S—ski.*

HUGO HOFMANSTHAL.

## L Ę K.

Djalog.

Tancerki: *Laidion*, wyższa; *Hymnis*, niższa. *Marynarz*, podsztabniczy kupieckiego statku.

*Hymnis.* (z zewnątrz). Można wejść?

*Laidion.* Można! chodź!

*Hymnis.* Czy to Pamhilos jest u ciebie?

*Laidion.* Tak. Możesz wejść.

*Hymnis* (wchodząc). Toż to nie Pamphilos.

*Laidion.* Wszystko jedno. To jest marynarz. — Mów dalej o ludziach z wyspy.

*Marynarz.* Ech, nie mam nic do mówienia!

*Laidion.* A o królu, jak go noszą na rękach i tańczą dokoła niego i wszyscy dotykają się jego szaty.

*Marynarz.* Czego ci się znów zachciewa! żebym rozpowiadał takie rzeczy! Muszę teraz odejść.

*Laidion.* Właśnie, że masz opowiadać! Ja chcę, abyś tu pozostał i mówił dalej.

*Marynarz.* Nie mam nic do rozprawiania z dziewczętami. Nie wiem nic.

*Laidion.* Mów o tem, o czem mi już opowiadałeś: o tej wyspie i o ludziach z wyspy — jeszcze więcej.

*Marynarz.* Przecież już raz to słyszałaś. Muszę odejść. Siostra twoja zostanie przy tobie.

*Laidion.* Ona nie jest moją siostrą.

*Marynarz.* Pozostawiam cię więc z twoją przyjaciółką. Ja muszę powrócić na statek.

*Laidion.* Pozostań u mnie i dokończ swego opowiadania. Potem poślę po jedzenie, będziesz spał i wypoczywał, przez noc pozostaniesz u mnie, a jutro rano pójdziesz na statek.

*Marynarz.* Nie, muszę zaraz wracać.

*Laidion.* Dziękuję za taką uprzejmość!... Czy wszyscy marynarze na waszym statku są równie grzeczni?

*Marynarz.* Bądź zdrowa.

*Laidion.* Ruszaj, dokąd chcesz. (*Marynarz* odchodzi).

*Hymnis.* Co ci dał ten marynarz?

*Laidion...*

*Hymnis.* Czy ten pasek, co tu wisi, dostałaś od niego? Jest raczej osobliwy niż ładny. Ale kolory są bardzo piękne: nie widziałam jeszcze nigdy tak silnych, jak ten błękitny i żółty. To muszą być barwy muszli, których nie znamy. Ubierzesz go? Możesz go brać tylko do tańca, kiedy nie bierzesz na siebie nic więcej. Cóż ci dał jeszcze?

*Laidion...*

*Hymnis.* Czy ten sznur ciemnozielonych kamieni jest też od niego? Ale to nie są prawdziwe kamienie.

*Laidion.* Naturalnie że są prawdziwe. Dlaczego nie miałyby być prawdziwe?

*Hymnis.* Prawdziwe kamienie muszą być przezroczyste.

*Laidion.* Te mają małe żyłki złota.

*Hymnis.* Kto wie, czy to prawdziwe złoto.

*Laidion...*

*Hymnis.* Śpisz? Jeżeli chcesz spać, odejdę. Wiesz, co on tu położył? Cztery drachmy. Jak na marynarza, to nieźle, licząc do tego podarunki. Ja wolę zawsze takich marynarzy, niż żołnierzy. Widzę, że chcesz spać. To już sobie pójdę... Ale, powiadam ci, widziałam dziś w nocy, jak tańczyła Demonassa razem z siostrą Bacchis. One zresztą podobno wcale nie są siostry. Ach, bogowie, niema nic nadzwyczajnego w ich tańcu. Ale co mężczyźni z nimi wyrabiają! Demonassa ma ładne ramiona, niezłe plecy i zgina się zgrabnie w biodrach.

A Bacchis ma małe ręce i nogi i cienkie palce. A bezwstydne są obydwie, ale co jedna pokazuje, to druga zasłania: to się podoba. Gdybyś tylko chciała, moglibyśmy robić wszystko, co one robią. Nic niema w tem takiego, czego by się jeszcze nie było widziało. Tyle tylko, że wszystkie ich pantominy są wynalezione przez poetów, każda przez innego; a do tańca każą sobie czytać wiersze i tym sposobem sypią lu-

dziom piasek w oczy, i zdaje im się, że widzą coś nowego.

Bacchis jest najlepsza tam, gdzie ma dużo do czynienia z rękami: naprzykład, kiedy jak Nimfa zostaje przemieniona w młode drzewko lub jako Ampelis—w pnącz wina—to jej się rzeczywiście udaje. Co prawda, chciałabym mieć tak wyrobione stawy dłoni jak ona. I zwierzęta wychodzą też wcale dobrze: młoda sarenka, która się lęka wiatru i igra z nim, albo ptak w sieci.

Demonassa jest dobra tam, gdzie może robić dużo głową i szyją; tańczą coś, zapomniałam już, jakiego poety: Bacchis stoi sztywna, odrętwiała pośrodku z larwą Meduzy na twarzy, a Demonassa zbliża się w tańcu, jakby nic nie przeczuwając, i nagle przemienia się w kamień; odrzuca wtenczas głowę w tył i, drżąc cała, drętwieje powoli, najpierw do biodra, a potem aż do stóp,—robi to tak, że lodowy dreszcz przebiega człowiekowi po plecach.

*Laidion.* Bogowie! jakże jałowe i nikczemne jest to wszystko! Oto tańczymy dla dwunastu lub dwudziestu mężczyzn; między niemi jest paru starych bogaczy, a reszta — darmozjady; a my tańczymy, potem upadamy ze znużenia, i robi się obrzydliwie: wszyscy cisną się do mnie; twarze mężczyzn, światła, zgiełk—wszystko to kłuje mnie poprostu w twarz, jak pożądliwe dzioby ptaków drapieżnych, i wolałabym umrzeć, niż leżeć z niemi, i pić, i słuchać ich krzyku. I pragnęłabym ulecieć daleko, jak na skrzydłach. Wiedziałam zawsze, że musi być gdzieś na świecie taka wyspa, jak ta, o której on mi opowiadał.

*Hymnis.* Cóż to za wyspa?

*Laidion.* Ach, czy ja wiem! Daj mi spokój.

*Hymnis.* Wiesz, marynarze są kłamcy.

*Laidion.* Ja wiem dobrze, że nie było kłamstwa w jego opowiadaniu. Chciałabym módz zatrzymać go tutaj przez dwadzieścia nocy i nie pozwoliłabym mu przestać mówić.

*Hymnis.* Co ci przyjdzie z tych obcych krajów? Pojechać nie chciałabyś tam z pewnością. Co można robić u takich kolorowych barbarzyńców?

*Laidion.* Głupia, co masz z tego że tańczysz? Czy jesteś choć przez chwilę szczęśliwa?

*Hymnis.* Daj spokój! Znowu napada cię twoja melancholja. Mnie to sprawia przyjemność, kiedy tańczę, a mężczyźni zrywają sobie wianki z głowy i mnie je rzucają. Wtedy panuję nad niemi; czują swą moc.

*Laidion.* A wewnętrznie czujesz się wtedy szczęśliwa? Możesz się zapomnieć? Możesz pozbyć się całkiem lęku, tego cienia, który przygasza krew w twoich żyłach?

*Hymnis.* Jakiego lęku? Ja się niczego nie lękam, kiedy tańczę.

*Laidion.* Więc masz pragnienia, a pragnienia są lękiem. Twój cały taniec nie jest niczem innem, jak upragnieniem i pożądaniem. Rzucasz się na wszystkie strony: czy uciekasz przed sobą samą? Chowasz się: czy chcesz się ukryć przed pożądaniem, które wiecznie targa pierś twoją? Małpujesz poruszenia zwierząt i roślin: czy możesz wcielić się w nie całkowicie? Zrzucasz odzież. Czy możesz zrzucić swój lęk? On jest jak koszula przesycona trucizną i żre ciało twoje, choćbyś się pod nią namaszczała i myła dziesięć razy na dzień. Czy możesz kiedy choć na dwie godziny pozbyć się lęku? A oni mogą!... Oni się nie lękają tańczyć pod gołem niebem, pod osłoną drzew świętych.

*Hymnis.* O jakich to ludziach mówisz? Czy oni skaczą na jednej nodze i przykrywają się konchą własnego ucha? Czy są osypani plamami jak pantera, czy też są centkowani jak zebra?

*Laidion.* Skóra ich ma barwę złota, a usta ich są silne jak paszcze zwierząt drapieżnych. Biodra ich są szerokie i wysmukłe zarazem.

*Hymnis.* Chciałabyś być taką jak oni? Fe! skóra ich cuchnie pewnie, że aż się niedobrze robi.

*Laidion.* Drzewa są tam o wiele wyższe niż u nas; ciemnoniebieski cień tych drzew jest jak istota żywa: można go ująć jak owoc. W drzewach i między drzewami mieszkają ich bogowie—mówi marynarz—a jednak nie lękają się.

*Hymnis.* Czy oni tańczą?

*Laidion.* Raz jeden tańczą tak, raz jeden w roku. Jest tam święta góra, naga i połyskująca jak miedź, a na jej wierzchołku rozsiadł się las jak szmaragd,—i oni tańczą właśnie u stóp tej góry. Młodzieńcy przysiadają na ziemi, a dziewczęta z wyspy stoją przed niemi, wszystkie razem, a stoją tak nieruchomo, że ciała ich są jak jedno ciało. Potem tańczą, a w końcu oddają się młodzieńcom, bez wyboru — każda należy do tego, który po nią sięgnie. W imię bogów czynią tak, i bogowie im błogosławią.

*Hymnis.* Co za bezwstyd!

*Laidion.* Szczęśliwi! Są bez lęku.

*Hymnis.* Co chcesz przez to powiedzieć, Laidion.

*Laidion.* Ach, nie rozumiesz-że mnie!..

Wyrosłam oto w domu mej matki; już jako dziecko byłam do niczego, od rana do wieczora zachciewało mi się rzeczy, których dostać nie mogłam. A potem, kiedy miałam już czternaście lat i obudziła się we mnie tęsknota, zaprowadzono mnie do bogatego Kalliasa; kładłam się i wstawałam zdumiona, smagana przez dreszcze, palce gryzłam z niecierpliwości,—a potem oddałam się temu, który mnie kochał. A on był pełen nienawiści i żółci, dlatego że przedtem należałam do innego; i to przeminęło, a potem przyszedł inny i znowu inny... Myślę, że nie było ani jednej chwili, w której nie tęskniłabym do pozbycia się samej siebie.

*Hymnis.* Bo ci zawsze było za dobrze. Czy może cię kiedy bito? Może cierpiałaś porządny głód choćby jeden raz w życiu?

(*D. n.*).

---

# Z DNA PRZEPAŚCI ŻYCIOWEJ.

## IV.

### Orłowskie kazamaty.

Zaraz ruszyliśmy naprzód. Zmęczone nogi z trudem się wlokły. Już trzech więźniów zemdlało nam w drodze. Wieziono ich w sankach, sunących obok. Mróz był tęgi i szczypał twarz bez litości, szczególnie zaś uszy. Ręka, zakuta w „naruczniki”, marzła i wprost kostniała.

Najbardziej marzli więźniowie z Królestwa Polskiego, nieprzyzwyczajeni do tęgich rosyjskich mrozów. Z zimna zęby wszystkim prawie szczękały, jak w febrze. Gdy przyszliśmy już do więzienia, okazało się, że prawie połowa więźniów miała poodmrażane ręce, nogi i uszy.

Więzienie Orłowskie okropnie wyglądają. Gmach brudno-szary, nizki, jakby przysadzisty, o bardzo grubych ścianach i głębokich lochach piwnicznych, przeznaczonych dla przesyłkowych więźniów. Dookoła więzienia ciągnie się grube czworokątne ogrodzenie murowane, wysokie na trzy sążnie. W dwóch kątach, przy ogrodzeniu, stoją dwie wysokie baszty murowane. Naogół wszystko to czyni wrażenie jakiegoś średniowiecznego zamku zbójeckiego, lub tajemniczego zaścianka inkwizycyjnego. A w samym gmachu więziennym było jeszcze bardziej ponuro.

Najmniejszy szmer odzywał się tysiącznem echem. Więzienie to wydawało mi się jakąś mogiłą fatalną, z której nikt żywym nie wychodzi. Cały nasz etap, złożony z ośmdziesięciu kilku ludzi, po dokonaniu zwykłych formalności i rewizji, wprowadzono do pustej, dużej celi piwnicznej o trzech małych zakratowanych okienkach. Cela mogła mieć około czterech sążni szerokości i ośmiu długości w przeciwległych kątach stały dwa wielkie piece gliniane, co wcale nie znaczy, że w celi miało być ciepło, przeciwnie, piece stały od parady, i było tak ciepło, jak i na podwórzu. Na łokciowej wysokości ponad asfaltową posadzką, między dwiema przeciwległemi ścianami, ciągnęła się drewniana prycza, z grubych bali zbita.

Pryczę zaraz zajęli polityczni i katorżanie.

Udało mi się otrzymać miejsce w samym kącie pryczy przy zimnej, jak lód, wilgotnej ścianie, zamazanej rozmaitemi rysunkami, aforyzmami, hasłami partyjnemi. Były tu i wierszyki cyniczne do niemożliwości. Lecz jeden krótki wierszyk wprost zdziwił mię swym sarkazmem i jadowitym humorem. Napisany był węglem ładnemi secesyjnemi literami. Był to wiersz następujący:

—Iz stolicy zdies sidieli,  
Chleb jeli,  
Wodu pili,  
Da wszej bili...

A pod nim podpisane humorystyczne pseudonimy.

Uśmiałem się serdecznie, pomimo niewesołego mego położenia.

Rozpoczął się szereg dni nudnych, nudnych i męczących z perspektywą wiecznie szarego jutra. Od czasu do czasu zabierano nam z celi paru kryminalnych, a na ich miejsce osadzano nowoprzybyłych politycznych, których razem z nami (przybyłych etapem z Warszawy) wkrótce już było sześćdziesięciu ośmiu. W sposób dotkliwy urozmaicano nam czas zabieraniem do „karceru" tego, lub owego więźnia za drobne przekroczenia instrukcji więziennej, a raczej osobistych rozkazów naczelnika więzienia, który oświadczył nam, iż instrukcją jest „on" i jego zlecenia. Wogóle „porządki" więzienne i stosunek administracji do więźniów wcale nie zależy od tego, co mówi w danych kwestjach instrukcja więzienna, a od osobistych zalet, a najczęściej wad i charakteru, albo i nastroju każdego z funkcjonarjuszów administracji.

Gdy razu jednego postawiliśmy naczelnikowi więzienia słuszne i zgodne z instrukcją więzienną żądanie, wówczas z marsową miną i majestatycznym giestem rzekł do nas:

— Naplewat' mnie na instrukcju!

Po takiem oświadczeniu, gdy kto z więźniów śmiał jeszcze coś odpowiedzieć, zwykle skazywano śmiałka na „karcer", co się równało zrujnowaniu zdrowia, albowiem „karcer" był prawdziwym rozsadnikiem chorób, z którego się wychodziło z początkami głodowego tyfusu, straszliwej febry, albo reumatyzmu.

Niezatracone jeszcze uczucie protestu przeciwko różnym gwałtom, zaprowadziło i mnie razu jednego do „karceru". Wepchnięto mię tak silnie, iż upadłem na wilgotną asfaltową posadzkę. Drzwi z trzaskiem zamknęły się za mną. Ciemno było jak na dnie duszy kata... W zgniłem powietrzu unosiła się smrodliwa, dusząca woń „paraszy", której prawie nigdy nie wynoszono; omackiem przekonałem się, że „karcer" miał nie więcej niż półtora łokcia szerokości, lecz był dość długim. Dwie mokre i omszałe od wiecznej ciemności i wilgoci ściany kończyły się ostrym kątem, w którym leżała kupa zgniłej i cuchnącej słomy. Sciany i drzwi były tak grube, iż największy hałas nie dochodził do tego lochu.

Zamknąłem oczy i starałem się zapomnieć o tem, gdzie się znajduję. Tak przeszło parę godzin, które wydawały mi się nieskończoną wiecznością. Potem wstrząsający dreszcz przeszedł po całem ciele i głuchy jęk rozpaczy wyrwał się z mych piersi . . . .

. . . . . . . . . . . . .

Gdym odsiedział dobę swej kary i powróciłem do celi, widocznie wygląd mój był nie do pozazdroszczenia: więźniowie patrzyli na mnie, jak na przybysza ze świata pozagrobowego. Lecz ja jeszcze byłem szczęśliwszy od innych. W ciągu następnego tygodnia dwóch więźniów dostało obłędu—jeden siedząc w karcerze, drugi po wyjściu z niego...

Każdego dnia wyprowadzono nas na pietnastominutowy spacer na podwórze więzienne. Nie cieszył nas wcale ten spacer. Milcząc wchłanialiśmy w siebie z gorączkowym pośpiechem mroźne powietrze. Chodziliśmy dookoła wielkiej kupy śniegu, opuściwszy głowy, bo nie było na co patrzeć; gmach więzienny, mury wysokiego ogrodzenia i z olbrzymie baszty, niby straże, stojące w kątach podwórza. A maleńkie ich okienka, zda się, patrzyły na nas oczyma okropnego tragizmu swej przeszłości. Po spacerze jeszcze smutniej było w celi.

Tak przeszedł jeden tydzień, drugi, trzeci... Liczba przesyłkowych więźniów znacznie się zwiększyła. Wśród nowoprzybyłych byli syfilitycy, chorzy na „cyngę" i tyfus, i bez względu na okropną zaraźliwość tych chorób, trzymano ich razem z nami, w jednej celi...

A widmo Głodu, z okropnym uśmiechem wyszczerzywszy swe trupio czarne zęby, zbliżało się do nas w towarzystwie wiecznie nieodstępnego przyjaciela swego — Tyfusu, który, zda się, wyciągał do nas swe pożądliwe. wychudzone ręce z rozkładającym się na nich ciałem.

Codziennie zabierano do szpitala jednego, lub dwóch więźniów, chorych na tyfus. Wkrótce dowiedzieliśmy się, iż przesyłka do następnych etapowych punktów (Saratowa, Carycyna) została zupełnie przerwana, z powodu tyfusu, panującego w tych więzieniach.

Duch niezadowolenia wstąpił we więźniów.

Codziennie, pomimo, że za to skazywano do „karceru", więźniowie natarczywie żądali od władzy więziennej prędszego wysłania w dalszą drogę, albo bezpośredniego etapu do samego miejsca zesłania. Jednego i drugiego odmówiono nam. Wybraliśmy z pośród siebie „Starostę" dla wystąpień przed władzą w imieniu wszystkich więźniów politycznych.

W poniedziałek piątego tygodnia, podczas „powierki" starosta zażądał od naczelnika więzienia prędszego wysłania nas w dalszy etap, motywując to tem, że prawie codziennie zabiera tyfus po paru towarzyszy.

— Tak wam i śledujet!... krzyknął naczelnik i wyszedł.

Ale w cztery dni po tej scenie przyszli konwojni żołnierze i zabrali nas wszystkich, lecz nie do Saratowa i nie do Carycyna a do prowincjonalnego więzienia w Kozłowie, Tambowskiej gub.

A gdy przy brzęku kajdan i „naruczników" wychodziliśmy z bramy Orłowskiego więzienia, to zdawało mi się, iż pozostawiłem za sobą czarną chmurę, pełną łez gorących i cierpień nadludzkich. . .

. . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . .

*Emil — Wygnaniec*

## WIADOMOŚCI BIBLJOGRAFICZNE.

*Wł. M. Kozłowski.* Historja filozofji XIX w. Księgarnia Arcta w Warszawie.

*Aulard, Carnot. Bax.* Historja rewolucji francuskiej, opracował Wł. M. Kozlowski księgarnia Arcta w Warszawie.

*Z. Kamiński.* Pieniądze wyd. II. Książki dla Wszystkich księg. Arcta w Warszawie.

*F. Lagrange.* Hygiena ruchu. Księg. Arcta w Warszawie.

*M. F.* Dzieje początków pisma. Księg. Arcta w Warszawie.

*Fl. Łagowski.* Historja literatury polskiej. Księg. Arcta w Warszawie.

*A. Malczewski.* Marja, wyd. Arcta w Warszawie.

*J. Słowacki.* W Szwajcarji. Księg. Arcta w Warszawie.

*Wł. St. Reymont.* Z ziemi chełmskiej. wyd. Gebethnera i Wolffa.

Alkoholizm i sprawa robotnicza w opracowaniu Dr. St. Skalskiego. Nakł. Tow. Hygienicznego Warsz. Odziału Łódzkiego.

*Osw. Balzer.* Jeszcze o punktach spornych pisowni polskiej. Nakł. autora.

*Antoni Szech.* Być albo nie być. Warszawa 1910.

*„Moje Pisemko"*. tom XV wyd. Arcta. Warszawie.

*Prawda o Kruszynku.* Całkowity dochód przeznaczony na stypendjum dla Kruszynianki (odbitka ze „Steru").

*Bol. Bourdon.* Giordano Bruno. № 1 Biblioteki Wolnomyślnej. Lwów 1910. Nakł. Akadem. Ligi Wolnej Myśli.

*Eugenja Żmijewska.* Z pamiętnika niedoszłej literatki. Nakł Gebethnera i Wolffa.

*J. Żuławski.* Zwycięzca. wyd. Gebethnera i Wolffa.

— „Słownik języka polskiego." Wyszedł z druku zeszyt 28-my „Słownika języka polskiego", redagowanego przez Władysława Niedźwiedzkiego z udziałem Kazimierza Króla, obejmujący wyrazy od Przeżartowanie do Psiaczyć. Słownik wychodzi obecnie z niezwykłą szybkością, szczególniej, jeśli się uwzględni, że redaguje go jedna osoba. Linde wydał swój słownik w ciągu lat 14, gdy tymczasem wydana dotąd część obecnego słownika stanowi już dzieło, przewyższające pracę Lindego cztery razy.

W poczuciu doniosłego znaczenia wydawnictwa, o którem mowa, powtórzymy tu słowa prof. Brücknera: „Miło nam wskazać czytelnikom naszym dzieło pomnikowej wartości, świetny dowód czujnej i dbałej troski o język ojczysty, wyszły z inicjatywy prywatnej, walczący nieraz z obojętnością tego ogółu, któremu wolną służbę oddaje. I jaknajgorliwiej polecamy dzieło, zdumiewające rozmiarami, troskliwością, szybkością i tanością wykonania, naszej publiczności" („Z dziejów jęz. pol.", Lwów, r. 1903, str. 83).

— Proszeni jesteśmy o zamieszczenie odezwy następującej:

„Podejmując wydawnictwo „Dziejów Porozbiorowych Litwy i Rusi", zwracamy się do wszystkich osób, które przeszłość Ziem tych obchodzi z gorącą prośbą o nadsyłanie dla ewentualnego zużytkowania w rzeczonem dziele: pamiętników rękopiśmiennych, wspomnień i zapisek rodzinnych, oświetlających bądź jakieś wydarzenie historyczne, bądź też stanowiących przyczynek do charakterystyki danej epoki; korespondencji wybitniejszych działaczy społecznych i politycznych, literatów i t. p., druków ulotnych, odezw władz i t. p.; fotografji z nieznanych portretów zasłużonych obywateli, urzędników, zarówno Polaków jak Rosjan; scen historycznych, gmachów, pamiątek, rzadkich sztychów i t. d.

Wszelkie przesyłki i listy prosimy adresować: Wilno, Redakcja „Kurjera Litewskiego"—dla wydawnictwa „Dziejów Porozbiorowych Litwy i Rusi". Można również porozumiewać się bezpośrednio z autorem „Dziejów" p. Henrykiem Mościckim (Warszawa—Aleja Ujazdowska № 16)."

*Redakcja „Kurjera Litewskiego".*

## SPROSTOWANIE.

Do artykułu p. Wacławy Kiślańskiej p. t.: „Słów parę wyjaśnienia w sprawie „oślego obrazu z Salonu Niezależnych" w N-rze 19 wkradły się następujące omyłki drukarskie:

Druga szpalta wiersz 7 od góry miast: „form sądu estetycznego" — winno być „norm sądu estetycznego", wiersz 29 zamiast—„wysuwając" winno być—„wysnuwając", wiersz 33 zamiast „wiary estetycznej"—winno być — „miary estetycznej", wiersz 70 zamiast—„Degeta" winno być — Degas'a, w № 16 — zamiast—„Sebasque" winno być: „Lebasque".

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.